

Pocztówki z Amsterdamu

Zebrałam starannie z biurka plik pokrytych pośpiesznymi gryzmołami luźnych kartek formatu A4 i włożyłam je do plastikowej koszulki. Po chwili namysłu wpięłam koszulkę do opasłego segregatora z napisem: „Wywiady” i odłożyłam go na wypełnioną po brzegi półkę stojącą tuż za obrotowym fotelem, na którym siedziałam. Fotel cieszący oko aerodynamicznym designem był w równym stopniu ładny, jak i cholernie niewygodny. Nie byłoby krzty przesady w stwierdzeniu, że ów mebel stanowił najdroższy element wyposażenia wnętrza przedpotopowej siedziby miejscowej gazety. Redaktor naczelny, sam zadziwiony niespotykanym do tej pory stopniem własnej rozrzutności, pewnego deszczowego popołudnia osobiście wniósł go na drugie piętro przedwojennej drawieńskiej kamienicy i z satysfakcją postawił na środku pomieszczenia zwanego szumnie i dumnie, aczkolwiek nieco na wyrost, newsroomem.

– Aga! – zwrócił się do mnie.

Walczyłam właśnie z zawieszającym się co rusz komputerem, który pamiętał z pewnością wczesne lata dziewięćdziesiąte.

– Zerknij na to чудо! – Odchrząknął znacząco i wypiął w geście zwyczajnego zarysowującego się pod bawełnianymi rękawami koszulki polo przywidłe już nieco mięśnie pięćdziesięciolatka. Spojrzałam nieco nieprzytomnie, ale na tyle rozumnie, by domyślić się, że nie chodzi mu o własną muskulaturę, ale o otulony troskliwie przezroczystą folią pakunek o nieregularnym kształcie. Uniosłam znacząco brwi w niemym geście zdziwienia. Naczelny nigdy wcześniej nie kupował niczego nowego, a już z pewnością żadnych mebli, twierdząc, że dobrego dziennikarza poznaje się po tym, co ma w głowie, a nie na czym siedzi.

– To dla ciebie! – dodał, zabierając się żwawo za rozpakowywanie fotela. – Nie mogę przecież pozwolić na to, żeby moja pracownica urzędowała na krześle wypożyczonym z miejscowej biblioteki! To urąga wszelkim przepisom bhp! I właśnie dzisiaj postanowiłem położyć temu kres!

– Naczelny, od kiedy pamiętam, uwielbiał patetyczne przemówienia i popisy oratorskie.

Położyłam bezwiednie dłoń, ścierpiętą nieco stukaniem w oporną klawiaturę komputera, na ciepłym materiale sukienki opinającej lekko mój płaski jeszcze brzuch.

Ogarnęła mnie fala czułości, którą prawie natychmiast zasnuł cień strachu.

Zaledwie parę tygodni temu, kiedy siedziałam w przepelnionym autobusie relacji Amsterdam – Szczecin, ten cień był ogromną czarną chmurą, która przestoniła świat i zakryła słońce. Nie pamiętam, jak udało mi się dotrzeć do Drawna. Działałam jak automat na zapasie baterii, które słabły z każdą minutą, aby wreszcie, kompletnie wyczerpane, próbować odzyskać utraconą energię w ciepłych, czułych ramionach rodzinnego gniazda. Dom, w którym wychowałyśmy się z Julią, był w przeszłości pełen śmiechu, życia, niedzielnego ciasta na stole i codziennego kompotu z jabłek w ogromnym garnku stojącym na słonecznej, obrośniętej winoroślą werandzie. Tam właśnie, na ostatnim przystanku każdej wędrówki, czekała na nas zawsze pewna wyjątkowa osoba. Znałam jej powitalne rytuały, powtarzające się za każdym razem, kiedy niecierpliwie wypatrywała córek wpadających w odwiedziny. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak otwiera bramę wjazdową, która od śmierci taty zardzewiała i skrzypiała niemiłosiernie, jak starannie zamiata podjazd, przygotowuje przepyszne gołąbki w historycznej brytfance, którą babcia przywiozła w tobołku ocalałym z syberyjskiej tułaczki. Potem wietrzy mój „panieński” pokój, obleka świeżą pościel, na poduszkach czule układa koszulkę nocną, a do wazonu wstawia świeże kwiaty. Kiedy w końcu zza firanki dostrzeże taksówkę, wybiega w samych kapciach na

dwór i w głos się śmieje. Zawsze tak robiła, od lat niezmiennie tak samo. Ta wywołująca błogie ukojenie niezmiennosc była mi w tym momencie niezbędna. Miałam nadzieję, że przywróci choć na chwilę poczucie bezpieczeństwa, którego było mi tak brak.

– Aga? – Z głębokiego zamyślenia wyrwał mnie nagle zatroskany głos naczelnego. – Wszystko dobrze? Jak się czujesz? – Delikatnie dotknął szorstką dłonią mojego ramienia i błyskawicznie, jakby onieśmielony własną poufałością, cofnął rękę, chowając ją niezdarnie za plecami.

Westchnęłam tak głęboko, że kilka pustych kartek leżących na biurku sfrunęło malowniczo na ziemię.

– Jak ci tu plastycznie i dobitnie zobrazować stan mojego psyche... Czuję się, jakby przejechał po mnie walec drogowy – mówiąc to, bezwiednie wyrzłam przez okno na miniaturowy drawieński rynecek, położony zgodnie ze średniowiecznym układem urbanistycznym w centrum miasta. Otaczały go mniej lub bardziej pieczołowicie odrestaurowane osiemnastowieczne kamienice. W trzech najbardziej okazałych mieścił się miejscowy oddział banku, apteka oraz biuro poselskie najznamienitszego lokalnego tuza robiącego błyskawiczną karierę na podatnej na populizm scenie politycznej. Siedziba naszej redakcji zajmowała drugie piętro wąskiego, wciśniętego między bank a aptekę, odrapanego budynku, który jako jeden z ostatnich już parę lat bezskutecznie czekał na odnowę. Miałam na temat owego opóźnienia swoją własną teorię spiskową, ściśle związaną z niepopularną wśród miejscowego establishmentu, a w szczególności pana posła celebryty, linią programową naszej gazety, której twardo trzymał się naczelny. Tylko jeden jedyny raz ugiął się pod zdecydowanym naciskiem władzy, co poskutkowało brzemienym w skutkach zwolnieniem mnie z funkcji latającego, aczkolwiek nazbyt wścibskiego, jak na małomiasteczkowe realia, reportera. Wyrzuty sumienia ciążyły naczelnemu długo, może dlatego z pocałowaniem ręki przyjął moje ponowne podanie o pracę. Przypuszczam, że uwolniłam go od koszmaru bezsennych nocy. Tym sposobem i wilk był syty, i owca cała. Naczelnym zmył poczucie winy, a ja zdobyłam lichy, bo lichy, ale bądź co bądź płatne zajęcie. Na początek musiało wystarczyć.

W pełną zrozumienia ciszę, która zapadła w pokoju, wdarł się nagle natarczywy dźwięk dzwonka. Dochodził z wiszącej niedbale na oparciu mojego krzesła ogromnej zamszowej torby-worka, w której – jak twierdził naczelny, śmiejąc się figlarnie – mieścił się chyba cały mój ziemski dobytek. Wbrew pozorom nie było w tym stwierdzeniu wiele przesady, nosiłam bowiem w torbie, oprócz standardowych gadżetów typu portfel, klucze i kosmetyczka, również takie curiosa jak podręczna wiertarka, atlas grzybów czy pluszowe holenderskie buty zwane klompami. Sięgnęłam ręką w głąb worka i na oślep próbowałam zlokalizować podłużny kształt telefonu. Gmerałam dłuższą chwilę w czeluściach torby, po czym triumfalnie wydobyłam z niej komórkę.

Na wyświetlaczu widniało imię: Stijn.

Jedno słowo – cały mój świat.

Który zamienił się w pogorzeliśko.

Nie potrafiłam wytłumaczyć tego racjonalnie, ale nie byłam w stanie znieść myśli, że usłyszę jego głos. Panicznie się bałam, że ponownie rozsypię się na tysiąc kawałków, ale tym razem już na pewno nie zdołam ich pozbierać i okropnie krzywo i nieporadnie, ale jednak, zlepić w jedną całość.

Byłam poskładanym naprędce, koślawym odbiciem dawnej siebie.

Stijn dzwonił do mnie nieprzerwanie od tygodni, po kilka razy dziennie. Moja skrzynka odbiorcza pękała w szwach od wiadomości, które kasowałam taśmowo, nawet nie próbując ich odsłuchać. Cóż mógł mi ofiarować zamiast głupich, tanich, oklepanych wyjaśnień w stylu: „To nie jest tak, jak myślisz”. Nie przypuszczałam, żeby miał jakieś racjonalne wytłumaczenie żenującej sytuacji, jakiej byłam świadkiem tego wieczoru przed jego domem w Zandvoort. Ktoś, kto sprawił, że stałam się emocjonalnym bankrutem, nie zasługiwał w moich oczach na drugą szansę. Najgorsze jednak było to, że za każdym cholernym razem, kiedy zamykałam oczy, ten przeklęty obraz ich dwojga razem pojawiał się pod moimi powiekami. Za każdym razem wracał jak bumerang i uderzał ze zdwojoną siłą w samo serce, powodując niewyobrażalny ból. Nie mogłam go wykrzyknąć, wypłakać, wyrzucić z siebie, moje oczy były suche, choć dusza zanosila się od płaczu. Nie umiałam płakać. Stijn zabrał mi nawet łzy. Codziennie do snu kołysał mnie i budził z koszmaru wspomnień ukochany wiersz Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej:

*Gdy się miało szczęście, które się nie trafia:
Czyjeś ciało i ziemię całą –
A zostanie tylko, tylko fotografia,
To – to jest bardzo mało.*

Niewiarygodne, jak słowa potrafią i koić, i ranić. Drgnęłam nagle wystraszona, gdyż telefon ponownie zadzwieczał na dnie worka, tym razem sygnalizując nadejście esemesa. Czekałam na ważną wiadomość od przyjaciółki, z niecierpliwością sięgnęłam więc do torby, od nowa rozpoczynając ceremonię poszukiwań lubiącego się chować aparatu. Upewniłam się, że wiadomość pochodzi od niej, i zaczęłam czytać:

*Masz umówioną wizytę dzisiaj o 16. Ulica Brzozowa, wejście od strony Jaśminowej.
Daj znać.
Bużka.
Gosia*

Zerknęłam szybko na naczelnego, ale zatopiony w myślach przeglądał z roztargnieniem jakieś opaste segregatory zalegające gigantyczne biurko, na którym panował wieczny bałagan. Na środku tego papierowego pandemonium stał poobijany laptop, choć właściciel nigdy z niego nie korzystał. Śmialiśmy się, że laptop stanowił wyłącznie atrapę mającą sugerować, że z naczelnego jest poważny, profesjonalny i nowoczesny dziennikarz, a tak naprawdę zatrzymał się w erze pergaminu i gęsiego pióra.

– Zbyszku... – zaczęłam przymilnie, po czym od razu przystąpiłam do ataku: – Czy mogłabym dzisiaj wyjść wcześniej? Mam pewną niecierpiącą zwłoki sprawę do załatwienia w mieście. Oficjalnie przy gościach „z zewnątrz” zwracaliśmy się do naczelnego per pan lub szefie. Jednak niepisany redakcyjny kodeks głosił, że w przypadku kiedy byliśmy tylko w swoim gronie, rozluźnialiśmy sztywne formy i mówiliśmy sobie po imieniu. Byłam przyzwyczajona do holenderskich zwyczajów, gdzie napuszona tytułomania w pracy nie miała praktycznie miejsca i każdy, poczynając od dyrektora, a kończąc na gońcu, zwracał się do siebie per ty. Ten model

zdecydowanie bardziej mi odpowiadał i cieszyłam się, że udało się go choć częściowo przenieść na rodzimy grunt.

– Jasne, jasne... – mruknął rozkojarzonym głosem, nawet nie podnosząc głowy znad stosu papierów. Postarzał się ostatnio, zaniedbał, stracił werwę w ruchach i ten charakterystyczny błysk w oczach, którym przekonywał do siebie nawet najzagorzalszych oponentów. Zastanawiałam się coraz częściej, czy posada szefa miejscowej gazety odpowiadała jego ambicjom? Czy przymusowa zsyłka przed laty na prowincję nie ciążyła mu jak kamień u nogi? Czy nie żałował wyborów, które musiał podjąć sam, i czy nie pomstował na tych, którzy tych wyborów dokonali za niego? Wiedziałam, że podczas studiów na Uniwersytecie Warszawskim wróżyć mu wielką karierę, którą tak jak wielu innym złamał stan wojenny. Podobno miał już nagrany staż w redakcji działu zagranicznego „The Times” w Londynie. Nigdy o tym nie mówił, nie wspominał, nie wracał do tego tematu nawet na nieformalnych spotkaniach kumpi z pracy, przy wódce, kiedy to masowo rozwiązywały się języki. Alkohol ułatwiał zwierzenia, rozładowywał atmosferę, sprzyjał dawaniu upustu emocjom, frustracjom, skargom na podły świat i złych ludzi. Naczelny nie skarżył się nigdy. Swoją banicję przed laty „zawdzięczał” aktywnym działaniom w podziemiach Solidarności. Właśnie tu, w Drawnie, poznał swoją przyszlą żonę, notabene córkę miejscowego partyjnego kacyka, zagorzałego zwolennika socjalizmu, który na pochodach pierwszomajowych pozdrawiał uciemżony naród z pierwszego rzędu czerwonej trybuny ustawionej w centralnym punkcie miasta – przed Domem Partii. Historia naczelnego i jego wybranki przypominała opowieść o Romeo i Julii, jednak ich miłość – w przeciwieństwie do bohaterów szekspirowskiego dramatu – nie skończyła się tragicznie. Przetrwiała historyczne zawieruchy, partyjne przepychanki, zmianę ustroju i prywatne burze z piorunami. Nikt z redakcji nie przepadał za wiecznie naburmuszoną „prezesową”, jak zwykliśmy ją nazywać. Największą miłością darzyła firmowe torebki i weekendy w spa w najdroższych hotelach nad Bałtykiem i Morzem Śródziemnym. Stabilną sytuację finansową z pewnością zawdzięczała nie pensji, jaką co miesiąc przynosił do domu małżonek, raczej smykałce do interesów zapobiegliwego tatusia, który swego czasu z głową zainwestował w rozległe tereny rekreacyjne nad chlubą regionu... malowniczym jeziorem Zgubie. Zaradna córeczka sprzedała w odpowiednim momencie ziemię obrzydliwie bogatemu inwestorowi i spokojnie mogła odcinać kupony od interesu stulecia.